

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

7

— Pani ma w najwyższym stopniu rozdrażnione nerwy — rzekłem — i muszę pani coś na to przepisać. Otóż moja pierwszą receptą będzie, żebyśmy już nie mówili o śmierci Alreski.

Staralem się mówić jak najnaturalniej, tak że i ona zaczęła się stopniowo uspokajać.

— Nie spałam od owej nocy — szepnęła znużona. — A więc pan nie chce prawdy mi powiedzieć?...

— Cóż ja innego powiedzieć pani mogę, prócz tego, że pani nie jesteś zdrową? Ale prawda. Mam ostatecznie do udzielenia pani wiadomość. Biedny Alreska zrobił mnie swym spadkobiercą.

— Te godne jego zacnego serca.

— Prawda. Ale ja nie rozumiem, dlaczego on tak postąpił?

— Rządził się wdzięcznością.

— Rzadki rodzaj wdzięczności. — odpowiedziałem.

— Czy nie podaje żadnego powodu w tym testamentie?

— Ani jednego słowa.

Przypomniała mi się koperta, którą dopiero co otrzymałem od prawnika i wspominałem o tem Rozie.

— Otwórz ją pan teraz — rzekła. — Wielce mnie to interesuje... Niech pan mego zaciekawienia nie bierze mi za złe...

Rozdarłem tę kopertę. Wewnątrz była druga koperta i list. Przejrzałem ten list.

— To nic ważnego — rzekłem z udaną obojętnością i chciałem schować list do kieszeni. Najgorsze to, że nie posiadam aktorskiego talentu; nie umiem grać roli...

— Czekaj pan! — zawołała żywo, a ja zawahałem się wobec błagalnej nuty w jej tragicznym głosie. — Pan mnie nie oszuka, panie Foster! W tem jest coś ważnego. Błagam pana, niech mi pan ten list przeczyta. Czy pan doprawdy sądzi, że ja nie mam prawa prosić pana o to? Dlaczego nie mamy mówić bez ogródek? Pan wie i wiem także, że jakaś tajemnica otacza tę straszliwą śmierć. Bądź pan ze mną szczerym, mój przyjacielu. Ja wiele przecierpiałam w tych ostatnich dniach...

Milcząc teraz, patrzyliśmy na siebie. Dlaczego, w istocie, miałem ją traktować, jak dziecko, tę kobietę o ujarzmiających oczach, o stanowczym, rozkazującym czole? Dlaczego miałem przedłużać tę pustą grę udawania?

— Przeczytam pani list jego — rzekłem. — Zachodzi istotnie tajemnica w związku z śmiercią Alreski, i kto wie, może jesteśmy w przededniu zbadania tej tajemnicy.

List nosił datę tę samą, co testament Alreski, to znaczy datę, wyprzedzającą o parę dni przybycie nasze do Bruges. Brzmiał on zaś, jak następuje:

„Mój drogi przyjacielu!

Zdaje mi się, że przyjdzie mi umierać i to z dziwnej przyczyny, którą sądzę, że odgadłem. Jak ją odgadłem i w jakich okolicznościach, to wszystko opisałem szeroko i ten dokument znajduje się w opieczętowanej kopercie, do której ten list dołączony. Mam specjalny powód, dla którego tego rodzaju opowiadania spisuję. Pragnąłbym, by niczyje oko dokumentu tego nie czytało. Jednakże przewiduję, że może z czasem to opowiadanie przydać się będzie mogło tobie — może nawet w niedalekiej przyszłości. Być może, że ty, Karolu, odziedziczysz po mnie *nietylko* mój majątek. Gdyby tak istotnie być miało, wtedy złam pieczęć i przeczytaj to, co napisałem. Jeżeli nie, proszę cię, po upływie pięciu lat zniszcz to pismo, nieczytane. Nie chcę wyrażać się jaśniej.

Zawsze twój

Alreska.“

— I tylko tyle? — zapytała Roza, gdym skończył czytanie.

Podaliśmy jej list, żeby przejrzała go sama. Drżała jej ręka, gdy mi go zwracała.

I nagle zarumieniliśmy się oboje. Oboje byliśmy zmieszani i unikaliśmy spojrzenia sobie w oczy. Milczenie stawało się trudnym do zniesienia. Przerwałem je pierwszy.

— Pytanie teraz, co ja mam zrobić? Alreska nie żyje. Czy mam uszanować jego wolę, czy otworzyć tę kopertę teraz? Gdyby mógł być przewidzieć niepokój pani, zapewne nie stawiałby tych

warunków. A zresztą, czyż można wiedzieć, czy te okoliczności, o których on wspomina, już nie istnieją? Czyż można wiedzieć — wymówiłem te słowa z mimowolnym uniesieniem — czy ja już dzisiaj nie jestem spadkobiercą *nietylko* majątku Alreski?

Zdawało mi się, gdy wymówiłem te zuchwałe słowa, że jestem zupełnie spokojny, ale w duszy mojej szalał jakiś zamęt miłości i ciemnych przeczuć, tak że sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Rozy oczy spoczęły na mnie. Wyciągnęła rękę, jak gdyby chcąc wziąć kopertę.

— Niech pani rozstrzyga — rzekłem. — Czy mam kopertę otworzyć, czy nie.

— Niech pan otworzy — szepnęła — on nam przebaczy.

Zacząłem łamać kopertę.

— Nie! nie! — krzyknęła, zrywając się i zaskakując ręce. — Byłam w błędzie. Zostaw pan to w spokoju, na miłość boską! Nie zniosłabym poznania prawdy!

I ja się zerwałem, zelektryzowany gwałtownością tego wybuchu. Ściskając kopertę, zacząłem biegać po pokoju i sam dziwiłem się półprzytomnie, dlaczego kroki moje tak głośno się rozlegają? Wreszcie stanąłem przed nią. Nie poruszyła się z miejsca. Stała jak posąg w powłóczystej swej czarnej sukni, tuląc obie ręce do bladej, zmizerowanej twarzy.

— Stanie się wedle życzenia pani — rzekłem. — Nie otworzę tej koperty.

I schowałem ją do portfela. Siedzieliśmy oboje, spokojniejsi już teraz.

— Napijemy się herbaty, dobrze? — przemówiła Roza. Opamiętała się prędzej niż ja. Nie potrafiłem odpowiedzieć na to jej zwykłe pytanie.

Zadzwoń. Służąca wniosła herbatę. Uderzyła mnie twarz tej dziewczyny. W twarzy tej czytało się spryt i przebiegłość.

— Co za doskonała herbata! — zauważyłem po pewnej chwili. Uważaliśmy oboje za właściwe, ośmiać teraz wzburzenie naszych uczuć zwykłą, codzienną gawędą. — Nie przypuszczałem, żeby w Bruges takiej herbaty dostać było można.

— Bo i nie można — uśmiechnęła się Roza. — Ja nigdy nie podróżuję bez własnego samowaru. Yvetta, moja służąca, nigdy o tem nie zapomina.

— Pani służąca?

— Tak!

— To zdaje się być niezwykajna służąca — zarezykowałem.

— Yvetta? Pewnie, że nie jest zwyczajna. Służyla Bóg wie u ilu sopranów Europy — do kontraltów nie chce iść. Posiadam ją, gdyż przeliczywałam w cenie moje rywalki. Niezrównana z niej fryzjerka. A to tak przyjemnie nie potrzebować sprowadzać fryzjerów w każdym obcym mieście! To ona wymyśliła moją koafiurę Elzy... Może ją pan sobie przypomnia?

— Doskonale! Nawiasem, kiedy pani rozpoczyna dalsze swe występy?

Uśmiechnęła się nerwowo.

— Jeszcze... jeszcze nie postanowiłam.

Nic ważniejszego zresztą nie zaszło tym razem. Oświadczywszy Rozie, że nazajutrz wyjeżdżam do Anglii, pożegnałem się z nią. Nie powiedziała mi, że ma nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, a i ja nie śmiałem jej powiedzieć, że gorąco tego pragnę. I tak rozstaliśmy się, nie dopowiedziawszy sobie tyśiąca rzeczy, rozstaliśmy się w nastroju czegoś nieokreślonego, przerwane, niedokończone, jakby...

Lecz następnego dnia zaraz otrzymałem od Rozy krótki bilecik, który serce moje poruszył i napełnił je radosnym oczekiwaniem.

„Gdyby pan zechciał spotkać się ze mną w kościele św. Idziego dziś rano o jedenastej, zasięgnęłabym rady pańskiej co do pewnej kwestyi.
Roza“.

Nie mogłem się doczekać naznaczonej godziny. Kościół św. Idziego jest to wielki kościół, stojący na pustym placu w odległej stronie miasta. Czekałem na Rozę w kaplicy blisko wejścia. Przyszła w pięć minut po godzinie, lepiej już wyglądająca, spokojniejsza i raźniejsza. Usiedliśmy w kąci jednej z dalszych ławek. Oprócz nas i kilkorga służby, zamiatającej posadzkę, nikogo nie było widać w kościele.

— Pan pytał mnie wczoraj o moje dalsze występy — zaczęła.

— Tak — odpowiedziałem — i nie bez powodu pytałem. Jako lekarz ośmieliłem się powiedzieć pani, że dobrzeby było, gdybyś się pani jak najprędzej i jak najzupełniej oddała swemu zajęciu.

Tu przypomniałem sobie, że podobną radę z pełni

mego młodzieńczego doświadczenia parę dni temu dawałem Alresce.

— Fakt jest, że podpisałam kontrakt i zobowiązałam się śpiewać w „Carmen“ w paryskiej *Opéra Comique* za dwa tygodnie. Nigdy w tej operze tam nie śpiewałam i zależy mi — właściwie zależało mi na tem bardzo. Dziś rano otrzymałam telegram od dyrektora, wzywający mnie bez zwłoki do Paryża, gdyż zaczynają się próby.

— I pani jedzie?

— To właśnie pytanie? Muszę pana jako życzliwego przyjaciela mego poradzić. Rzecz bowiem w tem, że grożą mi nieprzyjemnościami, jeżeli się ukazę w *Opéra Comique*, a specjalnie w „Carmen“. Cała sprawa marna jest nad wyraz, ale ja się naprawdę trochę boję...

— Czy wolno mi posłyszeć, o co chodzi?

— Czy zna pan Karłotę Deschamps, która zawsze śpiewa Carmen w *Opéra Comique*?

— Słyszałem jej śpiew.

— Nawiasem, to jest jej przyrodnia siostra, ta Marie Deschamps, która śpiewa w operetkach pańskiego kuzyna w londyńskim *Diana*.

— Poznałem Marie. Nieszkodliwe stworzonko!

— Jej przyrodnia siostra nie jest to tak niewinna osoba. Jest córką matki Hiszpanki, podczas gdy matka Marie to angielska, z ludu. Co do Karłoty, gdy byłam młodszą — (o, z jaką ślicznie poważną miną ta dwudziestotrzyletnia istota mówiła o swoim wieku), — śpiewałam w *Opéra Comique* w Paryżu, w czasie gdy Karłotta była tam gwiazdą, i miałam nieszczęście ściągnąć na siebie jej zazdrość. Strasznie jest ona zazdrosna i to potęguje się u niej w miarę, jak się starzeje. Zaprzysięgła mi, że jeżeli bym się ośmieliła wystąpić jeszcze kiedy w *Opéra Comique*, to nie każe zamordować. Śmiałam się z tego. Zapomniałam o całej tej sprawie, ale jakoś tak się złożyło, że od tego czasu już tam więcej nie śpiewałam. A teraz, gdy się tak składa, że mam śpiewać *nietylko* w *Opéra Comique*, ale nadto w „Carmen“, która jest jej uprzywilejowaną rolą, Deschamps szaleje ze złości. Jestem najpewniejsza w świecie, że ona knuje coś złego. Dwa razy pisała do mnie z najstraszliwszymi pogrozkami. Może to się dziwnem wydać, że ja się obawiam takiej kobiety, jak Karłotta Deschamps, ale tak jest. Byłabym prawie skłonna zerwać tę umowę.

Że kobieta z charakterem Rozy mogła się choć przez chwilę wahać z dotrzymaniem umowy, świadczyło chyba, że nie była sobą. Zapewniłem ją, że te obawy są bezpodstawne, że żyjemy przecież w dziewiętnastym wieku i że wściekłość owej Deschamps nie wyjdzie poza pogroźki. W końcu oświadczyła, że jeszcze się zastanowi.

— Niech pani się nie namyśla — nalegałem — niech pani od razu jedzie do Paryża. Chociażby dzisiaj. Trzeba działać. To pani wyjdzie na dobre.

— Ależ jeszcze o tylu rzeczach wpierw pomyśleć trzeba — rzekła, śmiejąc się z mojego przejęcia.

— Naprzykład?

— Otóż naprzykład, biżuterie moje są w Londynie złożone u mojego tamtejszego bankiera.

— Czyż pani nie może śpiewać bez biżuterii?

— Nie w Paryżu. Kto słyszał o czemś podobnym?

— Może pani napisać do swego bankiera, aby je wysłał przesyłką asekurowaną.

— Poczta! Ależ one są warte parę tysięcy funtów. Powinnabym w istocie pojechać po nie, ale czasu mi chyba nie starczy.

— Niech mi pani pozwoli przywieść je sobie do Paryża — rzekłem. — Niech mi pani da list do swego bankiera, a podejmę się oddać pani te klejnoty do rąk.

— Nie śmiałabym obarczać pana tak wielkim kłopotem.

Nęciła mnie jednakże myśl oddania jej przysługi. Możliwość przydania jej się na coś, wydawała mi się szczęśliwością najwyższą.

— Ależ ja o to proszę jak o łaskę.

— Czy rzeczywiście?

Uśmiechnęła się cudownie i ustąpiła. Zyczyła sobie, żebyśmy z kościoła nie wychodzili razem. Pierwsza wyszła przedemną. Poczekałam parę minut, a potem powoli wyszedłem. Obejrzaawszy się przypadkiem, przechodząc przez plac, ujrzałem postać kobiety, jakoby mi znajomej i pchnięty nagłym impulsem, zawróciłem szybko. Tą kobietą była Yvetta, widocznie przestraszona, gdym się do niej zbliżał.

— Czy panna czeka na swoją panią? — zapytałem ostro. — Ponieważ.

Spojrzała na mnie zjadliwie.

— A cóż to, czy pan może myślał, że czekałam na pana?